

PAMIĘTNIKI Z EMIGRACJI

BELGIA · CZĘŚĆ I

To miało być tylko na chwilę. HA!

MAŁGORZATA ZIEMIŃSKA

Felietony z piekła (i nieba) codzienności

SPIIS TREŚCI

PROLOG. TO MIAŁO BYĆ TYLKO NA CHWILĘ. HA!	5
1. EMIGRACJA, STAN PERMANENTNY	8
2. POLAK W PRACY, CZYLI EGZAMIN Z PRAWA DO ISTNIENIA	12
3. ZARZĄDZANIE WRAŻENIEM W BELGISZOWIE	15
4. EMIGRACYJNE WSTYDY JĘZYKOWE	18
5. JAK WKURZYĆ STAREGO PO POLSKU	21
6. NIEZNANY NUMER, CZYLI EMIGRACYJNA RULETKA	24
7. BELGIJSKI ŚWIĘTY ROWER	27
8. PMD, CZYLI RELIGIA WORKA	29
9. BELGIJSKI LIDL, CZYLI ŚRODA MA SWOJE PRAWA	31
10. BELGIJSKIE ŚNIADANIE, PLAN PIĘCIOLETNI DLA BIODER	34
11. BUŁA BIBUŁA	36
12. FRYTKI JAKO WARZYWO	38
13. DENTYSTA, CZYLI SADYSTA FINANSOWY	40
14. BELGIJSKIE SŁOŃCE, ZIMNA SUKA	42
15. WEEKEND, CZYLI ODPOCZYNEK DLA NAIWNYCH	44
16. NIEDZIELA PO BELGIJSKU	46
17. PIĄTEK I POWRÓT NORMALNOŚCI	48
18. FEJSBUKOWY ZAKON SPRZĄTACZEK	50
19. POLAK POLAKOWI	53
20. BREDNIA MIESIĄCA	55
21. KONSULAT, CZYLI POLSKA W WERSJI KIESZONKOWEJ	57

22. POLSKI SKLEP, CZYLI AMBASADA OGÓRKA	59
23. EMIGRANT MA DWA PORTFELE	61
24. RODZINA W POLSCE, CZYLI ZOO	64
25. POLSKIE URLOPY W BELGII	66
26. MANNEKEN PIS I NARODOWA POWAGA	68
27. ATOMIUM, CZYLI BELG TEŻ POTRAFI PRZESADZIĆ	70
28. BELGIJSKIE ZASŁONY I ŻYCIE NA WYSTAWIE	72
29. VOL-AU-VENT I INNE BELGIJSKIE ODPOWIEDZI	74
30. KAWA, SARKAZM, PRZETRWANIE	76
31. JAK MNIE TA EMIGRACJA CZASEM WKURWIA	78
32. KOSMOPOLITA Z REKLAMÓWKĄ	80
33. KTO MNIE LUBI, A KTO NIE	82
34. WTOREK. ZAPNIJ ROZPOREK I IDŹ PO SWOJE	85
35. ŚRODA BEZ WPISU	88
36. MADKA POLKA NA EMIGRACJI	90
37. BELGIJSKI STARY. INSTRUKCJA OBSŁUGI	92
38. GDZIE SIĘ PODZIAŁI BELGOWIE	95
39. JAK SIĘ USTAWIĆ I NIE ZGUBIĆ SIEBIE	97
40. JUŻ NIE TURYSTKA	100
41. EMIGRACYJNE DZIECIAKI, CZYLI MADKA POLKA NIE ZWARIUJE. CHYBA.	102
42. PRÁLKA MIELE, CZYLI BELGIJSKA RELIGIA TRWAŁOŚCI	105
43. DELEGACJA POD POLSKIM SKLEPEM	107
44. RYNEK MATRYMONIALNY NA EMIGRACJI	110

45. MIŁOŚĆ W SCHENGEN	113
46. BELGIJSKIE WESELE, CZYLI GDZIE JEST ROSÓŁ	115
47. BELGIJSKI LEKARZ I POLSKI DOKTOR GOOGLE	117
48. BELGIJSKI DESZCZ MA OSOBOWOŚĆ	119
49. ACTION, CZYLI EMIGRACYJNY HAZARD ZA 2,99	121
50. BELGIJSKI OGRÓDEK I WOJNA O TRZY CENTYMETRY ŻYWOPŁOTU	123
51. REMONT PO BELGIJSKU, CZYLI DROGA ZAMKNIĘTA DO ODWOŁANIA	125
52. BELGIJSKI SĄSIAD, CZYLI UPRZEJMOŚĆ NA DYSTANS	127
53. BELGIJSKA PUNKTUALNOŚĆ I POLSKIE ZARAZ	129
54. POLSKI FACHOWIEC W BELGII, LEGENDA WIĘKSZA NIŻ ŻYCIE	131
55. BELGIJSKI URLOP BUDOWLANY, CZYLI KRAJ POSZEDŁ ODPOCZAĆ	133
56. SOLDY, CZYLI BELGIA RUSZA NA POLOWANIE	135
57. BELGIJSKA PLAŻA, CZYLI LATO TRWA DO PIERWSZEJ CHMURY	137
58. PARAWANÓW NIE MA, ALE WOJNA O MIEJSCE ISTNIEJE	139
59. EMIGRANT NA URLOPIE W POLSCE	141
60. DWA DOMY I ŻADNEGO ŚWIĘTEGO SPOKOJU	144
61. EMIGRANT I PACZKA Z POLSKI	146
62. POLSKA TELEWIZJA, BELGIJSKIE ŻYCIE	148
63. POLONIA NA FACEBOOKU, CZYLI SĄD NAJWYŻSZY	150
64. BELGIJSKI SPOKÓJ KONTRA POLSKIE A NIE MÓWIŁAM	152
65. POWOLI UMIERA TEN, KTO NIE PODRÓŻUJE. EMIGRANT SIĘ ŚMIEJE	154
EPILOG. TO DOPIERO POCZĄTEK	156
OD AUTORKI	158

PROLOG

TO MIAŁO BYĆ TYLKO NA CHWILĘ. HA!

Na emigrację człowiek zwykle wyjeżdża na chwilę. Problem w tym, że chwila jest bardzo pojemną jednostką czasu. Może oznaczać sezon, dwa lata, spłatę kredytu, odłożenie pieniędzy, moment aż dzieci podrosną albo bliżej nieokreślone kiedyś, które przesuwają się z każdym kolejnym rachunkiem, przedłużoną umową i argumentem, że skoro już tu jesteśmy, to może jeszcze trochę. Najpierw do wakacji, potem do świąt, później do przyszłego roku, aż któregoś dnia człowiek przestaje podawać datę. W pewnym momencie orientujesz się, że masz belgijski adres, belgijskie ubezpieczenie, belgijskiego starego, dzieci belgiszowe, koty belgijskie, konto w banku, lekarza rodzinnego, dentystę, którego nie lubisz już zupełnie swojsko, i paszport beczelnie sugerujący, że cały ten projekt tymczasowy właśnie obchodzi kolejną rocznicę.

Na początku oczywiście wszystko jest przejściowe. Mieszkanie, praca, meble, znajomi, cały ten zagraniczny bałagan. Walizka długo stoi gdzieś pod ręką, jakby człowiek naprawdę miał któregoś ranka dopić kawę, wrzucić życie do bagażnika i powiedzieć: dobra, wystarczy, wracam. Polski numer telefonu jest świętością, każdy urlop oznacza Polskę, każda paczka z kraju pachnie jak objawienie, a polski chleb, twaróg i ogórki kiszzone urastają do rangi dóbr strategicznych. Człowiek potrafi przejechać pół miasta, bo ktoś rzucił na Facebooku, że w jednym sklepie mają prawdziwy biały ser. To jeszcze ten etap, kiedy wszystko się porównuje. W Polsce było szybciej, taniej, normalniej, lepiej, lekarz inaczej mówił, pieczywo inaczej smakowało, a urząd przynajmniej stresował człowieka w języku ojczystym.

Potem coś się przesuwają i nawet trudno powiedzieć kiedy. Walizka ląduje w piwnicy, najczęściej pod ozdobami świątecznymi i torbą kabli, których nikt nie wyrzuca, bo przecież kiedyś mogą się przydać. Polski numer przestaje być niezbędny, urlopu nie spędzasz już obowiązkowo w Polsce, bo człowiek po kilku latach odkrywa, że pięć dni wolnego nie musi oznaczać dwóch dni w samochodzie, trzech przy stole i siedmiu pytań, kiedy wracasz na stałe. Zaczynasz za to robić rzeczy niepokojące. Sprawdzasz kalendarz wywozu śmieci, wiesz, kiedy wystawić PMD, masz poglądy na temat gemeente, a kiedy ktoś źle sortuje odpady, czujesz autentyczne oburzenie. Nowo przyjezdny pyta,

po co tyle kolorowych worków, a ty łapiesz się na tym, że odpowiadasz mu tonem urzędnika, którego dziesięć lat wcześniej chciałeś udusić segregatorem. Integracja najwyraźniej nie zawsze zaczyna się od języka. Czasem zaczyna się od śmieci.

Najbardziej podejrzany jest jednak moment, kiedy wracasz z Polski i po przekroczeniu belgijskiej granicy myślisz z ulgą, że już niedaleko do domu. Nikt nie wręcza wtedy dyplomu, nie gra hymn, urząd nie wysyła gratulacji. Po prostu orientujesz się, że słowo dom przesunęło się na mapie bez pytania cię o zgodę. I chyba właśnie na tym polega emigracja długoterminowa. Człowiek latami opowiada, że mieszka za granicą, aż w końcu ta zagranica przestaje być zagranicą, a Polska staje się miejscem, do którego się jedzie. Nie mniej ważnym, nie mniej własnym, tylko już innym niż kiedyś.

Ta książka nie jest poradnikiem, jak zostać idealnym emigrantem. Gdybym знаła instrukcję, sama przeczytałabym ją pierwsza, najlepiej przed wyjazdem. Chętnie dowiedziałabym się wtedy, że zdanie „język złapiesz na miejscu” jest jednym z większych emigracyjnych dowcipów, zaraz obok „praca jest pewna”, „mieszkanie jest bardzo ładne” i „agencja wszystko załatwi”. Przydałaby się również informacja, że można przez pół życia uważać się za osobę całkiem samodzielną, a potem dostać jedno pismo z urzędu i nagle mieć osiem lat, mokre ręce i pilną potrzebę znalezienia jakiegoś dorosłego.

Emigracja szybko uczy rzeczy praktycznych. Belgijski urząd potrafi wychować skuteczniej niż rodzice. Rodzice mogą dwadzieścia lat powtarzać, żeby pilnować dokumentów, urząd wyśle jedno odpowiednio groźne pismo i od następnego dnia masz segregator, teczki, koszulki, kopie oraz osobne miejsce na papiery, których znaczenia nadal nie rozumiesz, ale intuicja podpowiada, że lepiej ich nie wyrzucać. Podobnie jest z językiem. Najwięcej nie uczysz się wtedy, kiedy spokojnie siedzisz na kursie i powtarzasz nazwy warzyw. Prawdziwy skok językowy następuje wtedy, kiedy trzeba zadzwonić do operatora, odwołać karę, umówić dentystę albo wyjaśnić, że rachunek się nie zgadza i nie zamierzasz płacić stu osiemdziesięciu euro za coś, czego nigdy nie zamawiałaś. W takich sytuacjach słownictwo rozwija się w tempie, którego nie przewidział żaden podręcznik.

Po drodze człowiek poznaje też belgijski deszcz, który ma więcej odmian niż przeciętna oferta piwa. Może padać delikatnie, poziomo, z boku, przez pięć minut albo przez trzy dni bez najmniejszej refleksji nad losem człowieka. Przyzwyczajasz się do korków, do sklepów zamkniętych wtedy, kiedy akurat czegoś potrzebujesz, do słów mających po osiemnaście liter i do frytek

traktowanych z powagą, jakiej w innych krajach używa się przy sprawach państwowych. Przyzwyczajasz się też do ludzi. Do Belgów, Polaków, sąsiadów, szwagrów, kolegów kolegów, urzędników, pracowników interimów, lekarzy i tych wszystkich postaci, które pojawiają się w emigracyjnym życiu na chwilę, a potem zostają w anegdotach na lata.

Nie będzie więc tutaj wielkiej emigracyjnej epopei ani cierpiącej bohaterki patrzącej przez zaporowaną szybę na obcy kraj. Będą telefony z nieznanymi numerami, praca, sklepy, urzędy, frytki, croissanty, lekarze, dentyści, dzieci, sąsiedzi i cały ten cyrk, który przez pierwsze lata wydaje się dziwny, a później robi się tak znajomy, że człowiek zaczyna bronić jego absurdów przed nowo przyjezdnymi. Będą też Polacy, którzy po dwudziestu latach nadal mówią, że oni tu tylko pracują, oraz Belgowie, którzy po informacji, że jesteś z Polski, z entuzjazmem opowiedzą ci o swoim weekendzie w Pradze.

Bo emigracja rzadko wygląda tak, jak człowiek ją sobie wyobrażał. Zaczyna się od walizki i planu powrotu, a kończy na tym, że masz własnego dentystę, ulubiony supermarket, poglądy na segregację śmieci i dokładnie wiesz, gdzie kupić dobry chleb. To wszystko dzieje się powoli, bez fanfar i bez jednego momentu, który można zaznaczyć w kalendarzu. Po prostu któregoś dnia patrzysz na swoje życie i dochodzisz do wniosku, że ten tymczasowy pobyt urządził się całkiem wygodnie.

To miało być tylko na chwilę. Ha.

EMIGRACJA, STAN PERMANENTNY

Emigracja ma ciekawą właściwość. Na początku liczysz miesiące. Potem lata. Na końcu przestajesz liczyć, bo szkoda baterii w kalkulatorze. Przyjeżdżasz z planem prostym jak młotek: zarobić, odłożyć, wrócić. Człowiek jest wtedy bardzo konkretny. Rok, góra dwa. Może trzy, jeśli naprawdę będzie się opłacało. Żadnego zapuszczania korzeni, żadnego urządzania się na poważnie, żadnych wielkich życiowych decyzji. Przecież to tylko emigracja, a nie przeprowadzka na zawsze.

Tyle że życie ma do planów stosunek raczej luźny.

Najpierw pojawia się praca. Potem lepsza praca albo gorsza, ale za to bliżej domu. Później mieszkanie, bo ile można mieszkać kątem, z obcymi ludźmi albo z meblami, które pamiętają jeszcze poprzednich sześciu emigrantów. Za chwilę większe mieszkanie, bo człowiek jednak chciałby mieć salon, a nie łóżko stojące trzy metry od lodówki. Dochodzi samochód, bo bez samochodu jest ciężko. Ubezpieczenie, bo trzeba. Konto w banku, telefon, abonament, internet, lekarz rodzinny, dentysta, który już ma twoją kartę, i fryzjer, do którego nie trzeba tłumaczyć wszystkiego od początku. Gdzieś pomiędzy tym wszystkim trafiają się dzieci, szkoła, kredyt, pies albo kot, nowe meble i sąsiad, którego znasz z widzenia od dziesięciu lat, ale nadal nie masz pojęcia, jak ma na imię. On zresztą prawdopodobnie też nie zna twojego. Nie przeszkadza wam to od dekady mówić sobie dzień dobry i wzajemnie obserwować, kto pierwszy wystawi śmieci.

I tak właśnie pobyt tymczasowy zaczyna obrastać przedmiotami, papierami i zobowiązaniami. Wracać nadal oczywiście można. Teoretycznie. Tylko najpierw trzeba wypowiedzieć umowę, sprzedać samochód, zamknąć konto, przepisać dzieci ze szkoły, ogarnąć ubezpieczenie, zdecydować co z mieszkaniem, spakować dwadzieścia lat życia i ustalić, gdzie właściwie człowiek miałby wrócić.

Bo to też się po drodze zmienia.

Najbardziej zabawne jest to, że przez długi czas mówisz „u nas”, mając na myśli Polskę, i „tutaj”, mając na myśli Belgię. To rozróżnienie jest oczywiste. U nas robi się tak, tutaj robią inaczej. U nas sklepy, tutaj sklepy. U nas szkoła,

tutaj szkoła. U nas lekarze, tutaj lekarze. Polska jest punktem odniesienia do wszystkiego, nawet jeśli od lat w niej nie mieszkasz. Belgia pozostaje miejscem aktualnego pobytu, trochę jak hotel z wyjątkowo długim terminem wymeldowania.

A potem któregoś dnia coś ci się wymysknie.

Mówisz „u nas” o Belgii.

Nie planujesz tego. Nie składasz żadnej deklaracji ideowej. Po prostu ktoś pyta, jak działa jakaś sprawa, a ty odpowiadasz: u nas jest inaczej. I dopiero sekundę później orientujesz się, co powiedziałaś.

Mały językowy zamach stanu.

Ojczyzna właśnie straciła monopol na zaimek.

Nikt od tego nie umiera, nie odbierają ci polskiego dowodu, Chopin nie przestaje grać, a ambasada nie wysyła listu z naganą, ale przez chwilę człowiek ma dziwne poczucie, że właśnie został przyłapany na czymś podejrzanym. Jakby jedno niewinne „u nas” było dowodem na to, że emigracja zaszła trochę dalej, niż planowano.

Zresztą język zdradza nas znacznie wcześniej. Najpierw wrzucasz pojedyncze obce słowa, bo akurat lepiej pasują. Potem nie pamiętasz polskiej nazwy jakiegoś dokumentu, bo od piętnastu lat używasz tylko niderlandzkiej. W Polsce tłumaczysz komuś, że musisz jeszcze załatwić coś w gemeente, po czym widzisz jego minę i przypominasz sobie, że przecież można powiedzieć urząd gminy. Dzieci poprawiają twoją wymowę. Ty poprawiasz ich polski. W efekcie wszyscy mówią trochę własnym językiem i tylko rodzina z Polski potrzebuje czasem napisów.

Emigracja nie jest już wtedy podróżą. Jest stanem permanentnym. Trochę jak remont, który miał potrwać dwa tygodnie, a po siedmiu latach nauczyłeś się omijać wiadro stojące na środku korytarza i przestałeś pytać, kiedy ktoś wreszcie skończy listwy. Na początku wszystko ci przeszkadza. Pogoda jest dziwna, ludzie są dziwni, godziny otwarcia sklepów idiotyczne, język brzmi jak awaria gardła, a administracja została najwyraźniej wymyślona specjalnie po to, żeby sprawdzić wytrzymałość psychiczną cudzoziemców. Po latach nadal narzekasz, tylko już inaczej. Narzekasz jak miejscowy. Z wiedzą, doświadczeniem i przekonaniem, że nowo przyjezdni jeszcze niczego nie rozumieją.

Najpierw boisz się, że się nie odnajdziesz. Że język będzie za trudny, ludzie zbyt obcy, praca za ciężka, a cała ta zagranica któregoś dnia cię wypłuje. Później odkrywasz coś znacznie bardziej podejrzanego.

Odnalazłeś się aż za dobrze.

Wiesz, gdzie jechać, kiedy coś załatwić, czego nie robić, jaki formularz wypełnić, gdzie zaparkować, którego urzędu unikać w poniedziałek rano i w którym sklepie kupić coś taniej. Masz swoje drogi, skróty, przychodnię, piekarnię, aptekę i człowieka od samochodu. Potrafisz przewidzieć pogodę po kolorze nieba i bez patrzenia w kalendarz mniej więcej wiesz, kiedy wystawić odpowiedni worek ze śmieciami. Belgia, która kiedyś wymagała instrukcji obsługi, zaczyna działać automatycznie.

I wtedy zaczyna się druga część emigracyjnego zamieszania.

Bo w Polsce jesteś już tą z Belgii.

Przyjeżdżasz i nagle okazuje się, że pewnych rzeczy nie wiesz. Nie znasz nowej aplikacji, nie orientujesz się, co zmieniło się w przepisach, pytasz, czy w niedzielę sklep jest otwarty, i płacąc kartą, przez chwilę zastanawiasz się, co właściwie nacisnąć. Rodzina śmieje się, że zrobiłaś się Belgijką. Ty protestujesz, oczywiście po polsku i z pełnym przekonaniem, po czym dwa dni później narzekasz, że nigdzie nie można znaleźć porządných frytek.

W Belgii natomiast przez wiele lat pozostajesz tą z Polski. Nawet jeśli znasz język, pracujesz, płacisz podatki, wychowujesz tutaj dzieci i potrafisz szybciej od miejscowych znaleźć właściwy formularz. Czasem wystarczy nazwisko albo akcent, żeby pytanie „skąd jesteś?” pojawiło się ponownie, choć odpowiedź od dwudziestu lat brzmi mniej więcej tak samo.

Na początku człowiek próbuje to sobie poukładać. Gdzie właściwie należy? Który kraj jest bardziej jego? Czy trzeba wybierać? Czy jeśli tutaj czujesz się dobrze, to znaczy, że oddaliłeś się od Polski? Czy jeśli tęsknisz za Polską, to znaczy, że w Belgii nadal jesteś tylko gościem?

Po jakimś czasie zwyczajnie brakuje energii na ten narodowościowy Excel.

Przestajesz walczyć o właściwą szufladę.

Masz własną.

Trochę poobijaną, z naklejkami z dwóch krajów, starym biletem na prom, belgijskim dokumentem, polskim paragonem, kartą lojalnościową z

supermarketu i rachunkiem z Action w środku. Nie jest specjalnie elegancka, ale wszystko się mieści.

I może właśnie na tym polega emigracyjna dorosłość. Nie na tym, że któregoś dnia wybierasz jedno miejsce i uroczyście skreślasz drugie. Raczej na pogodzeniu się z tym, że człowiek może mieć dwa domy, dwa zestawy przyzwyczajeń, dwa języki mieszające się w jednym zdaniu i dwa kraje, na które regularnie narzeka z poczuciem pełnego prawa do narzekania.

Można też w obu czuć się czasem jak u siebie i czasem jak gość.

Taki pakiet emigracyjny.

Bez instrukcji i bez możliwości zwrotu.

POLAK W PRACY, CZYLI EGZAMIN Z PRAWA DO ISTNIENIA

Zmieniłam pracę. Nowe miejsce, nowi ludzie, nowe twarze i ten krótki moment, kiedy jeszcze nikt nie wie, czego się po tobie spodziewać. Normalny człowiek w takiej sytuacji próbuje ustalić, gdzie stoi ekspres do kawy, o której jest przerwa i którego kolegę lepiej omijać przed pierwszą kawą. Polak na emigracji ma inne priorytety. Polak najpierw analizuje, czy przypadkiem nie powinien od pierwszego dnia udowodnić całemu zakładowi, że zasługuje na tlen.

Bo Polak na emigracji często nie idzie po prostu do pracy. Polak idzie zdawać egzamin z prawa do istnienia. Nieważne, że ma podpisaną umowę, doświadczenie, kwalifikacje i ktoś najwyraźniej uznał, że nadaje się na stanowisko, skoro go zatrudnił. Gdzieś z tyłu głowy siedzi mały kierownik w kamizelce odblaskowej, najlepiej jeszcze z polskim akcentem, i szepcze: szybciej, więcej, nie stój, nie siadaj, nie patrz na zegarek, nie bierz drugiej kawy, bo pomyślą, że jesteś leniwy.

Kto dokładnie ma tak pomyśleć, nie wiadomo.

Belg, który właśnie poszedł po trzecią kawę?

Holender, który pięć minut temu powiedział, że skończy jutro?

Kolega, który od dwudziestu minut opowiada o remoncie łazienki?

Nieważne. Wróg jest hipotetyczny, ale zapierdol całkowicie realny.

I człowiek robi. Szybciej niż trzeba, dokładniej niż trzeba i najlepiej jeszcze coś dodatkowo, żeby przypadkiem nie zostało pięciu minut, podczas których można by wyglądać na osobę nieproduktywną. Skończyłeś swoje? Weź następne. Kolega nie nadąża? Pomóż. Jest coś do przeniesienia? Już niesiesz. Ktoś zapyta, czy możesz zostać dziesięć minut dłużej? Oczywiście. Przecież nie będziesz robić problemu. Jesteśmy Polakami, nie jakimiś ludźmi z prawem do zmęczenia.

Po kilku tygodniach okazuje się, że robisz za dwóch, czasem za trzech, pensja nadal wpływa za jednego, a ty własnoręcznie stworzyłeś system, w którym twoje sto pięćdziesiąt procent zostało wpisane do codziennego harmonogramu

jako norma. I to jest największy numer. Nikt ci tej poprzeczki nie zawiesił. Sam ją przytargałeś, zamontowałeś na wysokości drugiego piętra, sprawdziłeś poziomica, a teraz stoisz pod nią i zastanawiasz się, kto ci to zrobił.

Pracodawca oczywiście szybko się przyzwyczaja. Człowiek jest istotą adaptacyjną. Jeśli codziennie dostaje sto pięćdziesiąt procent w cenie stu, nie zaczyna nagle protestować i domagać się mniejszej wydajności. Nie zwołuje zebrania, żeby powiedzieć: słuchajcie, nasza nowa koleżanka trochę przesadza, dajmy jej odpocząć. Raczej odnotowuje, że da się zrobić więcej. A skoro da się zrobić więcej, to za chwilę okazuje się, że więcej właściwie było planem od początku.

Najgorzej, kiedy pewnego dnia postanawiasz pracować normalnie.

Nie gorzej. Nie wolniej. Normalnie.

Robisz swoje obowiązki, idziesz na przerwę wtedy, kiedy masz przerwę, nie rzucasz się z defibrylatorem na każde zadanie leżące bez opieki i wychodzisz o godzinie zapisanej w umowie. Nagle atmosfera robi się podejrzana. Ktoś pyta, czy wszystko w porządku. Może źle się czujesz? Może coś się stało? Przecież zawsze robiłaś więcej.

No właśnie.

Zawsze.

W ten sposób nadgorliwość w ciągu kilku tygodni przechodzi z kategorii zaleta do obowiązków podstawowych. Wczorajszy wyczyn staje się dzisiejszym minimum. Człowiek sam sobie funduje promocję bez podwyżki.

Mam czasem wrażenie, że wielu z nas przywiozło ten odruch jeszcze z pierwszych lat emigracji, kiedy rzeczywiście trzeba było udowadniać więcej. Nie znałeś języka, nie miałeś lokalnego doświadczenia, nazwisko brzmiało obco, a do dobrej pracy ustawiało się kilku miejscowych kandydatów. Wtedy człowiek nadrabiał wszystkim, czym mógł. Punktualnością, szybkością, dyspozycyjnością, tym, że nie marudził. Zostań dłużej? Zostanę. Przyjdź w sobotę? Przyjdę. Zrób jeszcze to? Zrobię. Przenieś magazyn na plecach do sąsiedniej gminy? Jaki adres?

Tyle że czasy się zmieniają, a odruch zostaje.

Po pięciu, dziesięciu czy dwudziestu latach nadal wchodzisz do nowego miejsca pracy z niewidzialną kartką na czole: proszę się nie martwić, jestem z Polski, będę bardzo użyteczna.

I nie chodzi nawet o pracowitość, bo pracowitość jest czymś normalnym i całkiem przydatnym, szczególnie w pracy. Chodzi o to chorobliwe przekonanie, że musisz być lepszy od innych, żeby dostać dokładnie to samo prawo do bycia przeciętnym człowiekiem. Jakby lokalny pracownik mógł mieć słabszy dzień, a emigrant miał obowiązek przedstawiać codziennie certyfikat przydatności do społeczeństwa.

Stąd bierze się cały ten emigracyjny teatr produktywności. Człowiek idzie do toalety szybkim krokiem, żeby nikt nie pomyślał, że korzysta z niej rekreacyjnie. Kanapkę zjada w siedem minut. Zamiast powiedzieć, że czegoś nie robi, bo nie ma czasu, próbuje zrobić wszystko, a potem jeszcze przeprosza, że nie zdążył czegoś czwartego. Na przerwie siedzi z poczuciem winy, bo przecież w tym czasie magazyn nadal istnieje, produkcja trwa, telefony dzwonią i belgijska gospodarka jakoś musi sobie bez niego poradzić.

A Belg siedzi obok i spokojnie smaruje kanapkę.

Może dlatego po latach największym zawodowym sukcesem emigranta wcale nie jest awans, lepszy samochód służbowy ani bardziej imponująca nazwa stanowiska. Czasem największym awansem jest dopiero moment, kiedy człowiek rozumie, że umowa o pracę nie jest aktem łaski.

Że nie trzeba codziennie spłacać długu za samo zatrudnienie.

Że można być dobrym pracownikiem i jednocześnie chodzić na przerwę.

Że można czegoś nie wiedzieć.

Można poprosić o pomoc.

Można powiedzieć, że dzisiaj już wystarczy.

Można zrobić sto procent i nie dopisywać sobie kolejnych pięćdziesięciu tylko po to, żeby obalić stereotyp, którego być może nikt poza nami już nawet nie pamięta.

Emigracyjna dojrzałość zawodowa zaczyna się chyba właśnie wtedy, kiedy przestajesz codziennie zdawać egzamin, na który nikt cię nie zapisał. Przychodzisz, robisz swoją robotę dobrze, bierzesz przerwę bez wyrzutów sumienia i wychodzisz do domu bez poczucia, że zostawiasz Unię Europejską na skraju gospodarczego upadku.

Belgia naprawdę da sobie radę do jutra.

ZARZĄDZANIE WRAŻENIEM W BELGISZOWIE

Przyjeżdżając do Belgii, szybko odkrywasz, że sama praca nie wystarczy. Trzeba jeszcze odpowiednio zarządzać wrażeniem. Możesz być uczciwy, punktualny, nie kraść ręczników z hotelu i ogólnie nadawać się do życia w społeczeństwie, ale na początku i tak jesteś przede wszystkim Polakiem. Czyli człowiekiem, którego Belg jeszcze dobrze nie zna, ale już podejrzewa, że potrafi położyć panele, naprawić dach, złożyć szafę, wymienić kran i zna kogoś, kto za rozsądne pieniądze zrobi łazienkę. Nie wiadomo dokładnie, kiedy powstał ten stereotyp, ale trzeba przyznać, że sami pracowaliśmy na niego z dużym zaangażowaniem. Polak na emigracji długo nie potrafił powiedzieć: nie wiem, nie umiem, nie moja sprawa. To brzmiało podejrzanie miękko. Zamiast tego mówił: zobaczę. A „zobaczę” bardzo szybko zmieniało się w „zrobię”, choć pięć minut wcześniej człowiek pierwszy raz w życiu widział dane urządzenie.

Pierwsza zasada ustawiania się w Belgiszowie brzmi więc: nie pokazuj od razu wszystkiego, co potrafisz. Do tej wiedzy dochodzi się zwykle za późno. Jeśli raz powiesz, że umiesz coś naprawić, zostajesz człowiekiem od naprawiania. Jeśli wspomnisz, że kiedyś malowałeś mieszkanie, właśnie dostałeś drugi zawód. Jeżeli pomożesz przenieść szafę, od tej chwili jesteś logistyką ciężką. Masz w domu wiertarkę? Gratulacje, awansowałeś na Właśnie Znasz busem? firmę kogoś otworzyłeś technicznego. z transportową, tylko jeszcze nikt ci o tym nie powiedział. Najgorzej mają ludzie wszechstronni, tacy, którzy rzeczywiście umieją sporo. W Polsce było to zaletą. Na emigracji może się okazać początkiem bardzo niebezpiecznej kariery.

Kompetencje lubią się rozchodzić pocztą pantoflową. Najpierw jeden kolega dowie się, że umiesz położyć panele. Potem jego szwagier przypomni sobie, że właśnie kupił mieszkanie. Sąsiad usłyszy, że znasz się trochę na elektryce. Ktoś z pracy zapyta, czy skoro już będziesz w okolicy, to może tylko zerkniesz na drzwi balkonowe. Po kilku miesiącach orientujesz się, że masz normalną pracę, a po godzinach prowadzisz nieformalny serwis techniczny dla połowy gminy. I wszystko zaczęło się od jednego niewinnego „dam radę”.

Polak ma zresztą fatalny zwyczaj wypowiadania tych dwóch słów, zanim zdąży ustalić, o co właściwie chodzi. To reakcja szybsza od myślenia. Belg najpierw chce wiedzieć, jaki jest zakres obowiązków, ile to potrwa, kto za to odpowiada,

czy są odpowiednie narzędzia i o której kończymy. Polak w tym czasie już niesie drabinę. Trochę duma, trochę wychowanie, trochę przekonanie, że człowiek zaradny zawsze sobie poradzi, a trochę stary emigracyjny lęk, żeby przypadkiem nie wyjść na marudę. Skoro można pomóc, to pomagasz. Skoro umiesz, to robisz. Skoro nie umiesz, ale widziałeś kiedyś film w internecie, też można spróbować. Ostatecznie nie takie rzeczy się robiło.

Problem polega na tym, że świat nie interpretuje tego jako jednorazowego aktu dobrej woli. Świat zapisuje sobie informację, a potem wraca do niej wtedy, kiedy jest mu wygodnie. W pracy działa to szczególnie skutecznie. Powiedz raz, że umiesz obsługiwać program, którego nikt inny nie chce dotykać, a od tej pory każde pytanie dotyczące programu wylądowuje na twoim biurku. Pokaż, że potrafisz szybko zrobić tabelę w Excelu, i nagle pół działu odkryje, że od lat marzyło o tabelach. Popraw komuś dokument, a zanim się 16 obejrzyysz, będziesz poprawiać wszystkie dokumenty, ponieważ „ty to robisz szybciej”. Szybciej oznacza zwykle tyle, że od dzisiaj robisz to dodatkowo, za tę samą pensję.

Na początku człowiek jeszcze się cieszy, że jest potrzebny. Potrzebność na emigracji ma szczególny smak. Daje poczucie bezpieczeństwa. Skoro jestem potrzebny, to mnie nie wyrzucą. Skoro umiem więcej, to mam większą wartość. Skoro wszyscy przychodzą do mnie, to chyba dobrze sobie radzę. Do czasu, bo jest cienka granica między „niezastąpiony” a „ten, któremu można wszystko wrzucić”, a Polacy tę granicę potrafią przekroczyć z rozpędu.

Po latach człowiek zaczyna rozumieć, że w życiu zawodowym istnieje coś takiego jak strategiczne milczenie. Nie chodzi o udawanie idioty ani ukrywanie kompetencji. Chodzi o to, żeby nie wykladać całego CV na stół przy pierwszej kawie. Ktoś mówi, że ma problem z komputerem. Dawniej już byś wstawał. Teraz pytasz, jaki dokładnie. Ktoś mówi, że trzeba przenieść szafkę. Dawniej miałbyś ją na plecach, zanim skończył zdanie. Teraz patrzysz, czy przypadkiem obok nie stoi jeszcze pięciu dorosłych ludzi. Ktoś mówi, że „ty się chyba znasz”. Dawniej od razu potwierdzałeś. Teraz odpowiadasz ostrożnie: trochę.

„Trochę” to jedno z najważniejszych słów dorosłego emigranta. Umiesz niderlandzki? Trochę. Znasz Excela? Trochę. Potrafisz coś naprawić? Zależy co. Masz samochód? Tak, ale to nie oznacza jeszcze, że właśnie zostałeś kierowcą przeprowadzkowym. Belgowie mają w tej dziedzinie pewną przewagę kulturową. Potrafią zadawać pytania, zanim zaczną robić. Potrafią ustalić granice zadania. Potrafią powiedzieć, że czegoś nie ma w zakresie